

BAR NA SAHARZE

Port Étienne, 9 lutego 1966

S/s „Jan TURLEJSKI”

Znów zabujało statkiem. Płyniemy na południe do mauretańskiego Port Étienne¹. Cel podróży dla nas nie był specjalnie jasny, ale wiedzieliśmy, że s/s „Jan TURLEJSKI” odbywa tę trasę rokrocznie.

Las Palmas – Port Étienne i dopiero potem na ryby. Mogliśmy się tylko domyślać biznesowego charakteru takich wędrówek, zważywszy na to, że Las Palmas w tamtym okresie było portem wolnocłowym i ceny, w zasadzie wszystkiego, a szczególnie monopolu, elektroniki i zegarków, były tam bardzo niskie. Nas, studentów, ta kontrabanda afrykańska nie dotyczyła, gdyż nie dysponowaliśmy środkami finansowymi, które moglibyśmy w Las Palmas zainwestować.

Robiliśmy swoje, nie interesując się ubocznymi, pozaedukacyjnymi, celami afrykańskich podróży. Wyciągnęliśmy z ładowni sieci i rozpoczęliśmy ich przygotowywanie do połowów. Wydawało mi się, że byłem niezłym sieciarzem, tak przynajmniej wynikało z moich osiągnięć na sieciarni, gdzie wiązałem prawie 3 tysiące węzłów w godzinę. Tu jednak okazało się, że szycie i naprawa sieci prawdziwej, poza sieciarskim warsztatem, to nie to samo. Wielu rzeczy trzeba było uczyć się od nowa. Moje manualne uzdolnienia szybko procentowały i polubiłem tę pracę. Po jakimś czasie szyłem sieci niemal na równi z naszym bosmanem.

Było gorąco, żar lał się z nieba niesamowity. Niektórzy popalili sobie plecy i ramiona tak, że nie mogli spać w nocy. Cierpieli głównie ci o nieco jaśniejszej cerze. Dla złagodzenia tej uciążliwości w laście² z planek³ wyłożyliśmy brezent i napełniliśmy rybną przegrodę zaburtową wodą. Ten prowizoryczny basen nazwaliśmy „Kąpielisko TURLEY”. Chętnych do chłodzenia się w morskiej wodzie było sporo i musieliśmy rozpisac swoistego rodzaju grafik na moczenie spragnionych ochłody ciał. Temperatura powietrza była ok. 30°C, a wody w naszym „basenie” 20-22°C.

Kotwicę na redzie Port Étienne rzuciliśmy w „herbacianym czasie”⁴. Z dużym zaciekawieniem przyglądaliśmy się z pokładu piaskom pobliskiej wielkiej pustyni SAHARA i miasteczku granicznemu między Marokiem a Mauretanią. Z morza wyglądało to bardzo mizernie. Białe niskie budowle

1 Port Étienne (fr. Nouadhibou, pol. Nuadhibu) – miasto i port w Mauretanii nad Atlantykiem; ok. 20 tys. mieszk.; ważny ośrodek przetwórstwa i handlu rybami; plaże i brzegi są ciągiem Zachodniej Sahary.

2 Lasta – (ryb.) wydzielona przy pomocy planek (grubych, szerokich desek) część pokładu na statku rybackim przeznaczona na złowione ryby, które tam się wysypuje z worka po wybraniu sieci.

3 Planka – (ryb.) gruba deska służąca do wydzielania i dzielenia last; w transporcie morskim może oznaczać paletę do przenoszenia ciężarów.

4 herbaciany czas – godzina 17:00, czas tradycyjnej angielskiej herbatki.

sterczały z wszędobylskiego piasku jak porozrzucane niedbale klocki różnej wielkości i niebanalnych kształtów, kopułki, piramidki, sześciiany różnej wielkości i figury mieszane, jakby klocki poustawiane jedne na drugich. Wszystkie te budowle miały dwie cechy wspólne – biały kolor i bardzo małą ilość otworów, tak wejściowych, jak i okiennych. Wiele z tych wielokształtnych brył było otoczonych, też wybielonymi, wspólnymi murami.

Spuściliśmy statkową szalupę. Ośmiu z nas zeszło do łodzi jako jej załoga. Do statkowej łódki, którą podpłynęliśmy na śródokręcie, po krótkim sztormpapie⁵ z pokładu głównego zeszli: *Kwadrat*, kapitan, mgr Klimaj i st. mechanik. Było bezwietrznie i woda w zatoce Nouadhibou była gładka jak lustro.

Łódź popłynęła w kierunku bardzo zdezelowanego, starego drewnianego mola, na które nasza starszyczna wysiadła i udała się do najbliższego budynku, który wyglądał na Kapitanat Portu. Celem wizyty było załatwienie dojścia statku do tego zdezelowanego mola.

Nie udało się. Miejscowi urzędnicy stwierdzili, że dobiecie do tego mola tak „dużego” statku może spowodować jego zawalenie. Było to bardzo prawdopodobne, gdyż rzeczywiście zmurszałe i rozeschłe belki trzymały się kupy tylko dlatego, że ich nikt nie dotykał.

Nie był to duży problem, gdyż po opuszczeniu drugiej szalupy i ustaleniu dyżurów obsad na łodziach komunikacja z niezbyt odległą keją na spokojnej wodzie zatoki nie była kłopotliwa.

Mnie wyjście do „miasta” wypadło na drugi dzień postoju. Zaraz po śniadaniu ubraliśmy się w eleganckie khaki⁶ i po przepłynięciu łodzią niespełna 100 metrów ruszyliśmy na piaski Sahary. Miejscowość wydawała się zupełnie wyludniona. Trudno było spotkać kogokolwiek na „uliczkach” między murami niskich posesji. Było bardzo gorąco. Temperatura przekroczyła już dawno 40°C. Lekki zefirek wcale nie chłodził, a jedynie podrywał z podłoża żółty piaskowy pył, który sadowił się wszędzie: w oczach, nosie, uszach, za koszulą i w butach. Szybko staliśmy się mokrymi i oblepionymi żółtą mazią postaciami. Ciemne, mokre place pod pachami, na karku i z tyłu poniżej pasa dobitnie świadczyły o naszym nieprzystosowaniu do tutejszych warunków.

Zaraz na początku przy porcie znaleźliśmy tutejszy „supermarket”, długą, niską halę, wzdłuż ścian której porozkładane były stragany, głównie z tutejszymi regionalnymi wyrobami. Sporo było ładnych rzeczy, ale większość kosztowała ponad nasze możliwości zakupu. W kilku wypadkach próbowałem zbić cenę poniżej 5\$, ale mi się nie udało. *Sopociak*⁷, *Łysy*⁸,

⁵ Sztormpap – drabinka linowa ze szczeblami drewnianymi, służąca do komunikacji między statkiem a łodzią czy motorówką pilotową.

⁶ Khaki – letnie, jasne ubranie z cienkiej bawełny; tu spodnie, furażerka i koszula z nakładanymi kieszeniami i pagonami w piaskowym kolorze.

⁷ Tomasz Ciechowski.

⁸ Jerzy Rusak.

*Dzięcioł*⁹ i ja opuściliśmy przeciwsłoneczną ochronę, jaką była hala, i ruszyliśmy piaskową „ulicą” w poszukiwaniu jakiejś przygody. Trochę próbowałem fotografować, ale szybko stwierdziłem, że unoszący się piaskowy pył zawładnął już całkowicie moim aparatem.

W pewnym momencie ze zdziwieniem zobaczyliśmy szyld, prawdziwy szyld, wypisany naszym alfabetem. To był kawałek na czarno pomalowanej deski z dużym białym napisem. Wypisane na desce słowo jest chyba jedynym, które we wszystkich językach na całym świecie ma to samo znaczenie, nawet tu napis brzmiał bardzo swojsko – BAR.

Szyld był umieszczony na dachu niskiego, na biało malowanego, budynku z niewielkimi oknami i niedługim podcieniem, pod którym znajdowały się drzwi wejściowe.

– Wchodzimy? – zapytał retorycznie *Sopociak*, ruszając w kierunku otworu drzwiowego zakrytego grubą, wzorzystą kotarą.

Ruszyliśmy za nim. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy po odsłonięciu wejściowej zasłony stanęliśmy na szczycie pięciu kolistych ułożonych schodków, u których podnóża roztaczał się widok na całkiem obszerną, dość elegancką salę z bogato zdobionym i wyposażonym niezłe barem naprzeciw wejścia. Pod stosunkowo niskim sufitem kręciło się wolno kilka mieszaczy powietrza w kolonialnym stylu.

Okien tu nie było i całe wnętrze spowijał lekki półmrok rozjaśniony kolorowymi kinkietami o niezbyt dużej sile światła. Było pusto. Na wielu stolikach sterczały do góry nogami krzesła. Dopiero po chwili zobaczyliśmy jakąś kobiecą postać, która maczała właśnie w stojącym na kamiennej posadzce kubie wełnianego mopa. Postać wyprostowała się, spojrzała na nas i coś głośno powiedziała po francusku w kierunku drzwi za barem. Ciemnoskóra kobieta, ubrana w obszerną suknię szczelnie zakrywającą jej sylwetkę, zabrała mopa, wiadro i opuściła salę.

W chwilę potem obok baru pojawiła się inna kobieta. Byliśmy zaskoczeni. Na tle gęsto zastawionych butelkami półek stanęła niemłoda już, ale o śladach dużej urody, biała kobieta. Skręcone i rozrzucone w dużym nieładzie blond włosy jakoś dziwnie nie pasowały do rejonu świata i miejsca, w jakim byliśmy. Obrzuciła nas badawczym spojrzeniem i powiedziała coś po francusku.

– Co ona powiedziała? – dziwnie w tym wypadku zapytał się *Dzięcioł*. Przecież żaden z nas nie znał francuskiego, ani tym bardziej arabskiego, którym mogła się posłużyć.

– Pewnie nas zaprasza – odparłem i zrobiłem krok w kierunku baru.

Chyba musieliśmy mieć wielkie ze zdziwienia oczy, kiedy w pewnym momencie usłyszeliśmy wypowiedziane aksamitnym, przemiłym głosem, polskie zdanie:

– Witam panów z Polski, jak to miło, że panowie tu zawitali. Zapraszam.

⁹ Piotr Korczyński.

Zatkało nas. Jeden na drugiego patrzył, nic nie mówiąc. Obrzuciłem sympatyczną blondynkę po czterdziestce ciekawym wzrokiem i odważyłem się pierwszy zagadnąć:

- Niech tylko nam pani nie mówi, że to pani miejsce na życie, że jest tu pani z własnej nieprzymuszonej woli, że klimat, piaski i Arabowie to pani przyjazne środowisko?

W odpowiedzi roześmiała się jedynie szeroko, pokazując ładne zęby. Odrzuciła jednym ruchem długie, niesforne włosy, przeszła za ladę baru i z uśmiechem zapytała:

- Czego się panowie napiją?

Trudno było coś innego zamówić jak zimne piwo, bo na to na pewno było nas stać.

- Po zimnym piwie poprosimy – zadysponował *Łysy*.

- Siadajcie, panowie, zaraz podam.

Zakrzętnęła się koło kufla i beczki z piwem, a my przeszliśmy do najbliższego stolika i zdjawszy z niego krzesła, usiedliśmy. Jakoś dziwnie baliśmy się cokolwiek mówić. Świadomość, że tu na pustyni, w takiej arabskiej dziurze, możemy być zrozumiani, była paraliżująca. Gdyby nie to, pewnie byśmy głośno komentowali kobiece walory barmanki i sam lokal. Teraz rzucaliśmy jakieś skryte uwagi szeptem, nachylając głowy do siebie i spoglądając w stronę baru, jakby bojąc się być słyszczanymi, mimo że przecież nic złego nikomu się nawet nie wymyskneło z ust.

Blondyna przyniosła cztery wielkie kufle piwa oraz szklanekę wypełnioną lodem i pomarańczowym sokiem. Stawiając wszystko na stole, zapytała:

- Mogę się przysiąc? To wielka rzadkość usłyszeć w tym miejscu swój język ojczysty.

- To jeszcze większa przyjemność dla nas biesiadować z tak uroczą osobą, jak pani – wysiliłem się na wyszukany komplement. – Na pewno pani nie zdziwi to, że ogromnie nas intryguje pani tu obecność – dodałem, gdy usiadła na piątym, dostawionym krześle.

Teraz pobiegła historia życia pani Barbary – tak nam się przedstawiła – Polki z Krakowa, która będąc we Francji przed dwudziestu laty, zakochała się w oficerze nowej, powojennej francuskiej armii, który z czasem przeszedł na służbę do Legii Cudzoziemskiej. Nie przewidywała wówczas, że ta miłość w nieprzewidywanych okolicznościach skończy się na Saharze. Mówiła, że było fajnie, że niczego nie żałuje, że we Francji ani w Polsce niczego nie zostawiła, gdyż rodzice i większość rodziny zginęli podczas minionej wojny, a rodzeństwa nie ma.

Przed paru laty mąż jej zginął w jakiejś potyczce z tutejszymi rebeliantami i została sama. Za pieniądze po mężu założyła tę budę, która jest najlepsza w Port Étienne, i tak ciągnie ten wózek. Kiedyś jeszcze myślała o wyjeździe do Francji, ale tak naprawdę to nie ma tam do kogo wracać.

Trochę posmutniała, gdy podsunęliśmy jej myśl o powrocie do Polski.

– Panowie, chyba żartujecie. Tam mam zupełnie zamknięte wrota. Pochodzę z AK-owskiej, patriotycznej rodziny, która wprawdzie nie żyje, ale pamięć o niej u wielu ludzi dzisiejszej polskiej władzy jest jeszcze żywa, a ja też byłam łączniczką w AK.

Gdy to mówiła, pomyślałem o swoim ojcu *Kolumbie*, który z podobnych powodów po wojnie przebywał we Włoszech i nie mógł wrócić do Polski.

– Teraz już zmiękli, nie ścigają już tak podziemnej armii – próbował podtrzymać pomysł *Dzięcioł*.

– Ty tu pani Barbarze nie wciskaj kitu, nigdy nie wiadomo, co mają do rodziny i do niej – wyhamował zapędy *Dzięcioła Sopociak*.

On wiedział trochę więcej o mnie i mojej rodzinie, sam pochodził z dobrej szlacheckiej rodziny, której orientacja była oczywista, przyjaźniliśmy się i nawet była między nami jakaś daleka koligacja rodzinna. *Łysy* też napadł na *Dzięcioła*, jeszcze bardziej agresywnie niż kumpel.

Pani Barbara wstała i zaproponowała kolejne piwo.

– Nie, dziękujemy. Wie pani, nasze studenckie kieszenie są zbyt dziurawe na taki lokal.

Znów roześmiała się szeroko i perliście, zbierając ze stołu kufle. To jeszcze jest piękna kobieta – pomyślałem. Poruszała się fantastycznie i mimo długich, zakrywających wszystko szat wyczuć można było, przy odrobinie nawet wyobraźni, jej znakomitą sylwetkę. Ona, strzeliwszy w moim kierunku zielonymi, dużymi oczyma, które zderzyły się z moimi, jakby wyczuła, że o niej myślę, już do wszystkich powiedziała:

– Pozwólcie, chłopaki, że będziecie moimi gośćmi i postawię wam coś ciekawszego.

Przejscie jej z „pan” na „chłopaki” wydało nam się zupełnie naturalne, przecież mogłaby być matką każdego z nas. Pięknym, posuwistym krokiem przeszła za bar i postawiła na nim duże bombiaste kieliszki. Z półki zdjęła butelkę z napisem „Ricard”. Jeszcze nie byłem specjalnie rozeznany w światowych trunkach, ale ta nazwa gdzieś mi się już obija. Pani Barbara naląła po jednej trzeciej wielkich bombek i postawiła tacę na naszym stole.

– Za wolną Polskę! – powiedziała głośno, podnosząc wysoko jeden kieliszek.

Spojrzeliśmy po sobie i niemal jednocześnie poderwaliśmy się z krzeseł, z których jedno fiknęło nawet kozła.

– Za Polskę! – krzyknęliśmy chóralnie, wychylając mocny trunek do dna.

Ta niespodziewana patriotyczna demonstracja w odległym, saharyjskim, niewielkim porcie wydała mi się nieco dziwna. Choć może nie tyle dziwna, co pełna podtekstów. Gdy usiedliśmy ponownie, stawiając na stole kieliszki po dość mocnym, koniakowatym trunku, nasze oczy, to znaczy oczy chłopaków, spotkały się jedne z drugimi na przemian, jakby mówiły: „Pamiętajcie, tu nic się nie wydarzyło i z nikim się nie spotkaliśmy”. Było to coś w rodzaju przysięgi bez słów potwierdzonej oczyma.

Każdy dobrze wiedział, ilu to studentów, już po zdaniu egzaminów i zaliczeniu pierwszego semestru, musiało ze szkoły zrezygnować, gdyż nie otrzymali książeczek żeglarskich – nigdy się nie dowiedzieli oficjalnie dlaczego, ale szkolne „podziemie” dobrze wiedziało.

Pani Barbara nie zabierała teraz tacy, a przyniosła i postawiła na stole napoczętą butelkę „Ricarda”. Dobrze, że ta butelka rozłożyła się na pięć osób, bo przy tym skwarze mogłoby to nam zbyt zaszkodzić.

Żegnaliśmy się z panią Barbarą bardzo serdecznie, tak jakbyśmy byli jej starymi znajomymi. W pośpiechu nabazgrała na druku barowego rachunku, zamiast należnej kwoty, swój adres i wcisnęła mi papier do ręki. Widziałem, że miała ochotę się wyściskać na pożegnanie, ale się powstrzymała. Wyszła jedynie na podcień przed swój lokal i pomachała nam ręką, gdy już zanurzyliśmy swoje nogi w piasku ulicy. Kilkakrotnie się obejrzałem – wciąż stała i patrzyła za nami.

Jeszcze tego dnia wieczorem podnieśliśmy kotwicę i opuściliśmy przytulną zatokę Nuadhibu. Z pelengowego przez lornetkę poszukałem płaskiego budynku, na dachu którego stał szyld „BAR”. Jakoś żał mi się zrobiło pani Barbary. Za mało wiedziałem o niej, była mi obcą kobietą, a jednak zamyśliłem się nad jej starością w takim miejscu.
